Nr. 326. We Lwowie Poniedziałek dnia 23. Listopada 1896. Rok XXIX.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego", plac Marjacki liczba 6 i 7.
Przedpłata wynosi we Lwowie rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł — kwartalnie 4 zł 50 ct. miesięcznie 1 zł. 50 ct, za przesyłkę do domu dopłaca się 20 ct. miesięcznie
Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięcznie 2 zł.
Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 13 marek 40 fr. gr. — do Francji, Angiji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.
Numer kosztuje 6 centów.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.
Telefon Redakcji 171.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie niewyłączając niedziel i świąt o g dzinie 8. rano.

Przedpłatę i ogłoszenia przyjmują we Lwowie jedynie i wyłącznie:
Biuro Administracji „Dziennika Polskiego", plac Marjacki l. 6 i 7 w domu pana Kiselki.
We Wiedniu: pp. Haasenstein & Vogler, (Otto Maas), M. Dukes, H Schalek, A. Oppelik's Nachf., Rudolf Mosse i J. Danneberg: w Paryżu: C. Adam 38 rue de Varenne.
Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 10 centów od jednego wiersza drobnym drukiem (petit).
Doniesienia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po kronice za jeden wiersz 50 ct.
Prywatne korespondencje 12 i nekrologja 20 centów od wiersza.
Drobne ogłoszenia 1½ centa od wyrazu. Pomieszkania i sklepy po 1 ct. od wyrazu.
Reklamy w rubryce Nadesłane 30 ct. od wiersza.

Wydawcy i właściciele: **Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański i Mieczysław Schmitt.**

Z prasy słowiańskiej.

Lwów 22. listopada.

(*D. K.*) Organ realistów czeskich, praski *Czas* pisze z powodu znanego oświadczenia ministra oświaty Gautscha w kwestji założenia wyższej szkoły technicznej i drugiego uniwersytetu czeskiego na Morawie:

„Przyrzeczenie, jakie nam dało ministerstwo w Wiedniu, że na Morawie zostanie założony uniwersytet czeski i technika czeska, jest wymownym dowodem tego, iż na decydujące sfery nasze większy wywierają wpływ warunki kulturne i oświata, jaką sobie pracą usilną wyrobiliśmy, aniżeli wszelka akcja partyjno-polityczna Widzimy, że na Wiedeń oddziaływa siła kulturalna narodu czeskiego, oraz że na niej się opierając, moglibyśmy z czasem uzyskać koncesje prawno-politycznej i państwowej natury.

Z tego faktycznego stanu rzeczy wypływa ważna nauka dla polityki czeskiej i taktyki klubu czeskiego w Wiedniu.

Z drugiej strony atoli niemniej ważne powinniśmy wyciągnąć konsekwencje dla akcji naszej w kraju. To oświadczenie rządu napawa nas radością, bo dwa nasze najgłówniejsze postulaty szkolne posunęły się znacznie naprzód Zasługą w pierwszym rzędzie jest to uczonych naszych mężów, gdyż niemałych zaiste rzeczy dokonano u nas na polu nauki, piśmiennictwa i sztuki.

Wywalczeniem drugiego uniwersytetu i techniki postępujemy w myśl programu narodowego budzicieli narodu czeskiego, których hasłem było: „w pracy i wiedzy leży nasze zbawienie". Politykę t prowadzili nasi prowodyrzy i bez zejmu i bez posłów. Zakładali muzea, Matice, czasopisma naukowe, aby wychować pracowników. Palacky w roku 1852 zrozumiał, że nam potrzeba słownika naukowego, ponieważ kto nie podąża za swymi sąsiadami, cofa się i zginie nieuchronnie.

Na tem polegało w zrozumieniu ojców naszego narodu pojęcie realne patrjotyzmu, że wartość narodowości podwyższa się tym sposobem, iż każdy członek narodu ma podwyższać wartość swą własną w tym kierunku, który sobie obrał.

Dobry literat, dobry ksiądz, dobry urzędnik, dobry lekarz, dobry nauczyciel, dobry rolnik, dobry rzemieślnik — oni to powiększają wartość narodowości i jej treść, nie deklamacje i pieśni.

Dziś, kiedy założenie uniwersytetu czeskiego na Morawie jest tylko kwestją czasu, warto się zastanowić, czy jesteśmy na otwarcie tej instytucji przygotowani. Minister Gautsch uczynił nam zarzut: jeszcze mniej aniżeli pieniędzy, mamy osobistości odpowiednich, którymi dałoby się obsadzić katedry uniwersytetu czeskiego. Pytamy się naszej najwyższej instytucji naukowej czeskiej akademji, co uczyniła, aby ułatwić utworzenie uniwersytetu? Madjarska akademja umiejętności w krótkim stosunkowo czasie wydała tyle dzieł naukowych, że one ludziom, poświęcającym się wyższym studjom, dały sposobność wykształcenia specjalnego się w języku ojczystym. Bez akademji umiejętności nie są możliwe uniwersytety. Czy nasza akademja cośkolwiek w tym kierunku uczyniła? Niestety nic. Instytucja ta ma nazwę akademji, ale w gruncie rzeczy jest ona pensjonatem p Hlavki. Sześć lat istnieje, ale w czasie tym nic nie uczyniła dla wychowania młodych pracowników, którzyby mogli być materjałem zapasowym dla drugiego czeskiego uniwersytetu i techniki.

Jeżeli stosunki w akademji czeskiej nie zmienią się na lepsze, zostaną nas uniwersytet i technika morawska nieprzygotowanymi Rząd wypełnia wobec nas swój obowiązek, my go atoli wobec samych siebie zaniedbujemy."

* * *

O stosunkach, panujących wśród Serbów węgierskich, rozpisują się białogrodzkie *Male Novine*:

„Serbowie węgierscy dzielą się tak samo jak Serbowie w królestwie na trzy stronnictwa: liberałów, radykałów i madziarofilskich klerykałów, czy też wiernokonstytucyjnych.

Niema wątpliwości, że u nas w królestwie są stronnictwa rzeczą zbytku, że u nas stronnictw być nie powinno, ponieważ stronnictwa nas rozdwajają i przeszkadzają wspólnej pracy. Ale jeszcze gorzej, że stronnictwa takie istnieją wśród Serbów węgierskich którym grozi zaguba ostateczna od rządu madziarskiego, a którzy radzi są, że wśród nawały madziarskiej i szowinizmu madziarskiego, wolno im głowę na karku nosić.

Dopóki Serbowie węgierscy byli pomiędzy sobą zgodni, dopóty głos ich coś znaczył w Europie i Madziarzy obawiali się nad kwestjami serbskiemi przechodzić do porządku dziennego; odkąd powstało nieszczęśliwe rozdwojenie, Madziarzy im przed nosem drzwi swego sejmu zamknęli i odtąd też nie odzywa się głos serbski na tem miejscu, skąd go słychać w całym świecie.

Ale nietylko w sejmie węgierskim stracili Serbowie mandaty, dostali się oni do mniejszości w kongresie cerkiewnym, gdzie przewodzą po myśli Madziarów tacy Serbowie, którzy poczucia narodowego nie posiadają wcale i których madziaryzacja jest tylko kwestją czasu.

Wprawdzie oba stronnictwa narodowe, liberalne i radykalne odbyły w sremskim Karłowacu zjazd, na którym miano porozumieć się co do wspólnego programu i wspólnej akcji na przyszłość, zdecydowano się również wysłać delegatów wspólnych na t. z. kongres narodowości niemadziarskich w Budapeszcie, niestety na próbach tylko się skończyło, a dziś organ liberałów *Zastava* i organ radykałów *Branik*, wiodą pomiędzy sobą polemikę, kto zawinił, że do porozumienia nie przyszło.

Nam Serbom w królestwie drogimi są jako bracia jedni i drudzy, my im to tylko powiadamy: strzeżcie się, bracia, wszelkich rekryminacyj. Co kiedyś było, zapomnijcie, niechaj jeden drugiemu winy przebaczy i miejcie zawsze przed oczyma smutny stan, w którym wasz i nasz dobry lud serbski się znajduje.

Korespondencje.

Kurityba 16. października.

I znów tylko smutne wieści donieść wam mogę z „raju brazylijskiego". Nie „raj" to, jak twierdzą ajenci namawiający lud do emigracji, lecz ziemia przesiąknięta już krwią i łzami biednych wychodźców, zasłana mogiłami tych, którzy zmożeni ciężką pracą, gorącym klimatem i chorobami przez śmierć uwolnili się od piekła na ziemi. Gdybym chciał opisać wszystkie opowiadane tu historje o nędzy wychodźców galicyjskich, musiałbym spisać całe tomy. Ciągle nadchodzą nowe, ponure wieści o nędzy biednych wychodźców, o wymieraniu całych kolonij. Wychodźcy dostają tu wprawdzie od rządu ziemię, ale są to przeważnie grunta skaliste, nieurodzajne, na których najcięższa praca nie wyda żadnych owoców. Nadto stosunki tu są niemożliwe Emigranci nie znając języka, nigdzie nie mogą nic dla siebie wykołatać i muszą ze strony Brazylijczyków znosić najrozmaitsze nadużycia, przeciw którym nic poradzić nie mogą. Żołnierze brazylijscy znęcają się nad żonami i córkami emigrantów; młodych mężczyzn przemocą porywają i zmuszają do służby w wojsku. Upały i ukąszenia much jadowitych mocno się im dają we znaki, ciało im puchnie i tworzą się rany, wskutek których niezdolni są do pracy. Pracę z powodu nieznajomości języka trudno bardzo im dostać. Wielka śmiertelność panuje wśród dzieci; starsi zaś przeważnie umierają na malarję lub na wycieńczenie z powodu ciężkiej pracy, i niedostatku jadła. Zmarłych Rusinów władze kościelne brazylijskie nie pozwalają grzebać na cmentarzu, gdyż nie uważają ich za katolików. Widocznie księża brazylijscy nie wiedzą nic o unji Oto mniej więcej prawdziwy obraz nędzy brazylijskiej. Wprawdzie napływają do was listy, malujące tuteisze stosunki w tęczowych barwach, ale to są przeważnie listy pisane przez ajentów, a obliczone tylko na wzmocnienie prądu emigracyjnego i na obałamucenie włościan.

Jak zaś „ajenci emigracyjni wyzyskują w nieludzki sposób emigrantów, niech posłuży fakt następujący, o którym doniosły tutejsze dzienniki: niemiecki *Beobachter* i polska *Polonja*. Austrjacka misja w Buenos Aires otrzymała dnia 14 sierpnia br. telegram od konsulatu austrjackiego w Montevideo, iż tam przybył transport emigrantów z Galicji, których władze emigracyjne nie chcą przyjąć i wpuścić do kraju. Kierownik misji polecił telegraficznie konsulowi, aby się zajął emigrantami i sam pojechał do Montevideo. Konsul tymczasowo pomieścił emigrantów w aresztach gminnych, gdzie ich kierownik misji znalazł w największej nędzy. Biedni, na pół nadzy i głodni, bez grosza w kieszeni, nie mogąc się z nikim rozmówić stali bezradni i załamywali ręce, błagając o pomoc i chleb. Było ich do 50 osób, wszyscy z Galicji z powiatów zbaraskiego i skałackiego. Naczelnika misji, który do nich przemówił po polsku, uważali za swego zbawiciela. Kobiety i dzieci, a nawet niektórzy z mężczyzn rzucali się mu do nóg i całowali jego kolana. Naczelnik misji kazał dać im żywność i gorąco zajął się ich losem. Padli oni ofiarą niesumiennego ajenta, którego nie znali nawet nazwiska. Zapłacili mu za podróż od osoby po 300 zł. Ostatnie swe pieniądze wydali podczas podróży na okręcie Celem ich podróży była Parana. Ajent w Genui kupił dla nich bilety; wszyscy mu wierzyli ślepo. Parowiec zawiózł ich do Marsylji, gdzie przesiedli się na statek „Italia" i w dalszą puścili się drogę Statek jednak wcale ich nie wysadził na ląd brazylijski, tylko popłynął do Montevideo, gdzie emigranci wysiedli. Dzięki więc tylko niesumienności ajenta, który ich oszukał, mówiąc, że jadą do Brazylji, dostali się oni do stolicy Urugwaju, gdzie ich przyjąć nie chciano. Ponieważ łatwiej było wysłać ich do Argentyny, przeto naczelnik misji chciał ich tam wszystkich wysłać. Niektórzy na to się zgodzili, inni zaś nie chcieli, pragnęli bowiem dostać się do Parany, gdzie mieli krewnych lub znajowych. Za staraniem brazylijskiego posła w Montevideo wysłano ich wreszcie do Parany. Kilku z tych wychodźców przybyło do Kurytiby i tu opowiedziało swe męki i bole.

Emigranci padają ofiarą nietylko ajentów, lecz także wyzyskują ich w niesumienny sposób właśni ich rodacy. Prym wśród nich wiedzie niejaki Dmytro Dzendrowski z Demytiowa koło Bóbrki. Za jego namową i poradą wybrało się mnóstwo ludzi do Brazylji, a w końcu i on sam przywędrował Dodać należy, że ten Dzendrowski przeszło rok cały namawiał chłopów do wychodźtwa do Brazylji, dowodząc im, że sam już tam był i widział, jak tutaj ludzie odrazu stają się bogaczami i że tutaj jest cesarzem arcyksiążę Rudolf, który nie umarł, lecz przeniósł się do Brazylji, gdzie opiekuje się chłopami, i daje im czego tylko dusza zapragnie Wyrabiał więc ludziom karty okrętowe, tj. pisał listy do Nodarego, do Udiny, za co kazał sobie słono płacić. Wiadomo, że do grudnia 1895 r. był dla emigrantów galicyjskich do Brazylji przejazd bezpłatny, później już trzeba było płacić: on jednak wszystkim powiadał, że przejazd nadal jest wolny, tylko „pany" naumyślnie tak gadają, aby ludzie nie jechali. Przez to setki włościan sprowadził na żebraków, bo gdy sprzedawszy wszystko co mieli, przybyli do Udine, przekonali się, że kart bezpłatnych już nie ma. Żandarmerja dowiedziawszy się o tem, chciała go aresztować, on jednak udał, że jest śmiertelnie chory, sprowadził księdza, wyspowiadał się na śmierć i widząc, że żandarmi pilnują go dzień i noc, wstał z łóżka, położył na swe miejsce syna, ogolił wąsy, przebrał się w szaty kapłańskie i umknął do Udiny. Ztamtąd dopiero pisał niestworzone rzeczy do chłopów, aby jak najprędzej przyjeżdżali, bo opóźniwszy się, już nigdy nie będą w Brazylji i Rudolf ich nie przyjmie. Za pisanie tych listów płacił mu Nodari. Dzendrowski sam, jak mógł, w barakach skubał emigrantów, aż wreszcie ściągnąwszy swą rodzinę, przyjechał z nią do Kurityby. Chłopi zwerbowani przez niego, przybywszy do Brazylji, ocknęli się — niema arcyksięcia Rudolfa i niema tego raju, o którym im w Galicji mówiono. Gdy Dzendrowski także przybył do Kurityby, chłopi zanieśli na niego skargę do władz brazylijskich, ale one nie były kompetentne do wyrokowania w tej sprawie. Chłopi przeto zaczęli szemrać i grozić Dzendrowskiemu śmiercią. I w samej rzeczy, strzelano tu do niego. Widząc, że to nie żarty, cichaczem wyniósł się z baraków, dzieci pooddawał do służby, a sam wyjechał do Rio Negro, skąd pisze listy do Galicji do krewnych, aby mu przysłano pieniądze na powrót, bo i on nie jest zadowolony z swego pobytu w Brazylji.

W tych dniach przeniesiony został z Rio Negro na stałe do Kurityby, Lwowianin, p. Aleksander Enzinger, urzędnik kolejowy. P. Enzinger przybył już ze swą rodziną do Kurityby i objął swe czynności na stacji kolejowej.

Redaktor tutejszej gazety polskiej p. Mieczysław Radziszewski, syn profesora lwowskiego uniwersytetu, wyjechał już z Kurityby na posadę rządową, a redakcję *Polonji* prowadzi Lwowianin, p. Aleksander Smokowski.

Przybyło tu z Galicji trzech księży i otrzymali już od biskupa parafje Ks. M. Szostkiewicz otrzymał parafję w Tomas Coelho, ks. Fróg w St. Mateuszu, a ks. Wróbel w Agua Branca. W St. Mateuszu przeto już jest dwóch księży polskich ks. Fróg i ks. Ludwik Przytarski. Z końcem b. m. rozpoczną się nabożeństwa polskie w farze kuritybskiej.

Dnia 18 bm odbędzie się tu zgromadzenie wszystkich austrjackich poddanych zamieszkujących w Kuritybie. Celem zgromadzenia jest porozumieć się nad uroczystem przyjęciem konsula austrjackiego p. Pola, który w tych dniach tu przybywa.

Dnia 14 bm., gdy byłem na poczcie w Kuritybie, prosił mnie urzędnik pocztowy, abym mu przeczytał adres na jednym z listów, adresowanych po polsku List był z Galicji, z Pomorzan z pod Przemyślan, adres zaś na nim brzmiał jak następuje: „Do urzędu nacjonalnego Rzeczypospolitej Brazylijskiej w Kuritybie". Kto pisze i po co nie wiadomo, lecz łatwo się domyśleć, że to musi być jakiś wieśniak, który listownie prosi zapewne rząd tutejszy o bezpłatny przejazd z Galicji do Brazylji. *A. S.*

Dwudziestopięciolecie seminarjów nauczycielskich.

Lwów 21. listopada.

Drugi i ostatni dzień jubileuszu rozpoczął się wczoraj rano nabożeństwem żałobnem, odprawionem w kościele PP Benedyktynek łacińskich za dusze zmarłych nauczycieli seminaryjnych i seminarzystek O godzinie 10. nastąpiła druga część obrad referatowych zjazdu seminarzystek:

P. **Grotowa** mówiła o ogródkach freblowskich i postawiła następujące trzy wnioski:

1. Wnieść petycję do rady szkolnej krajowej o wyjednanie w ministerstwie oświaty, by freblówki, posiadające patent na mistrzynie ogródków mogły samodzielnie zakładać i prowadzić ogródki prywatne, oraz by mogły zajmować posady kierowniczek przy ogródkach miejscowych bez świadectw dojrzałości.

2. Wnieść podania do rady szkolnej krajowej, aby freblówki mogły otrzymywać posady nauczycielek wiejskich.

3 Wnieść podanie do rady miasta Lwowa, aby przy wszystkich szkołach lwowskich utworzono ogródki freblowskie, na wzór tego, jaki już ma szkoła im. Zimorowicza.

P. **Machczyńska** wygłosiła referat o potrzebie założenia drugiego seminarjum żeńskiego we Lwowie. Postanowiono w tej sprawie wysłać petycję, którą podpisze prezydjum zjazdu i wyszle do rady szkolnej krajowej.

Nastąpił odczyt p. **Niwińskiej** na temat: o ile nauczycielka ludowa może się przyczynić do rozwiązania kwestji włościańskiej.

Popołudniu odbyło się drugie publiczne wspólne zebranie członków gron nauczycielskich i byłych seminarzystek. Najpierw sekretarz zjazdu prof. **Świechło** odczytał telegramy gratulacyjne, poczem dr **Żuliński** odczytał rezolucje, powzięte przez 3 sekcje zjazdu gron nauczycielskich,

Ważniejsze z owych żądań domagają się pomnożenia seminarjów żeńskich i udzielania im równego z męskiemi poparcia, reformy naukowych planów seminaryjnych, urządzenia przynajmniej we Lwowie i Krakowie osobnych seminarjów dla nauczycieli szkół wydziałowych, lub choćby tylko paralelek przy zakładach już istniejących, dla nauczycielek zaś lub nauczycieli, chcących poświęcić się naukom przyrodniczym lub agronomji, utworzenia posad asystentów przy odpowiednich katedrach seminaryjnych, nakoniec uczynienia nauki śpiewu i gry na fortepianie i skrzypcach przedmiotem obowiązkowym. Inne postulaty, mniej ważne, lub mające zbyt specjalne znaczenie, pomijamy.

Po odczytaniu rezolucyj sekcyjnych przewodniczący dyr. **Wimpeller** zamknął obrady krótkiem przemówieniem, poczem objęła przewodnictwo pani **Machczyńska** i odbyło się zakończenie zjazdu byłych seminarzystek.

Rezolucje sekcyjne odczytały sekretarki pp. Paklerska i Rudnicka, przewodnicząca zaś podziękowała uczestniczkom, byłym uczenicom swoim, za udział w zjeździe i pracy, dowodzącej ich znajomości potrzeb społecznych oraz zapału dla spraw publicznych i słowami: „Do jak najrychlejszego ponownego zobaczenia!" zamknęła pani Machczyńska obrady zjazdu.

*

O g. 6 zebrało się w sali „Koła literackiego" przeszło 50 uczestników zjazdu na koleżeńską pożegnalną ucztę. Z rady szkolnej obecni byli pp B. Baranowski, Dziedzicki, Dniestrzański i poseł Barwiński. Naturalnie nie obeszło się bez toastów. Pierwszy toast wniósł p. Wimpeller z Krakowa na cześć Lwowa w ręce p. M. Baranowskiego. Następnie w długim szeregu wznosili toasty pp. Michałowski, B. Baranowski, Sokalski, Barwiński, dr. Żuliński, Zubczewski, ks. Stefanowicz, Turczyński, Świechło, Warmski i ks. Wołcz.

Podczas bankietu kursował wśród uczestników humorystyczny spis potraw p. t. „Konferencja pedagogiczno-gastronomiczna, urządzona z powodu ćwierćwiekowego jubileuszu założenia seminarjów nauczycielskich w Galicji, w dniu 21 listopada 1896 w salach Koła literackiego."

Wódka nazwana jest w tym spisie: „$C_2 H_6 O_1$ środek pedagogiczny, używany przez Anglików, Niemców i inne europejskie narody do szerzenia kultury wśród Indjan, Negrów i innych dzikich plemion". Wino nazywa się: Okazy kryształu górnego, napełnionego płynem, który na podstawie dochodzeń chemicznych zawiera raz na sto wypadków produkt fermentacji alkoholowej z *vitis vinifera*, zresztą atoli fuksynę, anilinę, glicerynę, alkohol z fuzlem, cukier ołowiany, arszenik, kwas octowy i wodę"

*

Przedstawienie wczorajsze dane ku uczczeniu jubileuszu seminarjów nauczycielskich, złożone z prologu pióra St. Rossowskiego, żywego

---

(4)

KLEJNOT.

POWIEŚĆ

Marji Rodziewiczówny.

(Ciąg dalszy)

Szczęściem dla sprawy Szymona, kundysy tej nocy rozdrażnione były hałasem, który panował w jednej z zagród. Rozlegały się tam śpiewy i krzyki, tupanie ciężkich nóg i dźwięki skrzypiec.

Leśniczy z setnikiem przesadzili jeden i drugi płot, szperali po gumnach i szopach, a psy wciąż ku hałaśliwej zagrodzie zwracały pyski i wyły do wtóru dzikiej uciesze.

Pod węgłem jednej stodoły, w słomie, setnik znalazł coś ukrytego. Było to drzewo, ale lipowe.

— To z grafskiego, od Niemców! — mruknął obojętnie. Potem Szymon wyszperał w ciemnym kącie podwórza cały ul, ale też minął obojętnie.

Szlachta z Dubinek kradzieże leśne uprawiała jako proceder i fach, więc każdy z sąsiednich majątków szukał swojej tylko własności, o innych się nie troszcząc.

W trzeciej zagrodzie nic nie znaleźli.

— Jednakże stary Adam „najsprawiedliwszy" — zauważył setnik.

— Dlatego że jego wnuk tylko zwierzynę kradnie, całe życie po cudzych lasach się włócząc, a dziewczyna, Antolka, nie ma czasu ani sił tem się zająć. Och taka sprawiedliwość! — mruknął Szymon.

— Ten Hipek ich strzela, jakby „co" znał! Onegdaj u mnie kunę w sieni zastrzelił. A dziewczyna okrutnie „dowcipna" do wszelkiej roboty.

— Jędza! — krótko streścił swe zdanie Szymon.

W czwartej zagrodzie spłoszył ich pies, musieli długą chwilę przetrwać nieruchomie u płotu, aż się uspokoił i odbiegł; w piątej ruch był na gumnie. Dwóch ludzi narządzało wóz do jakiejś podejrzanej wycieczki nocnej i rozmawiali spokojnie:

— To Antolka spotkała tego rakarza?

— Aha, i wystraszyła, że jedzie na przeszpiegi!

— Niech sobie u nas trzęsie, nawet wrót nie zamknę.

— Wrócimy do dnia?

— Hej, jeszcze się prześpimy.

— A suche te tarcice?

— Jak pieprz

— Żydy mocno śpią?

— Jak co i posłyszą to udawać będą sen. Już oni mnie znają i nie zaczepią.

— Wicka nie bierzecie?

— Choroba na niego. Zaręczyny swe prawił! Jakby nie dość było dwóch kobiet w domu, żeby starczyło swarów na cały dzień. My się z nim o to dziś poswarzyli. Nawet umyślnie w drogę ruszam, żeby tam nie iść, na te głupie zrękowiny. Marcin też się kędyś powlókł z Hipkiem Adamów, więc kiedy oni takie harde, zarobimy z wami, kumie, a im będzie figa. Zobaczą, co to znaczy starszego nie szanować. Oho! Dajcie no klaczy pić, a ja po siekierę wstąpię.

— A pocóż siekiera do desek?

— A na żyda, jak spać nie zechce — tam ten odparł, śmiejąc się złowieszczo.

Szymon setnika trącił, jak cienie posunęli się dalej.

— Makarewicze wnet całą „ryzykę" stracą, bo się podzielą — rzekł chłop. — Ano, chwała Bogu, bo żeby dłużej potrwali w takiej sile, to alboby nas zjedli, alboby ich po jednemu ubyło. Nie było już mocy do wytrwania.

— Podzielą się, albo ich sąd podzieli! — rzekł Szymon. — Bo niedoczekanie, bym ja im dopuścił długo jeszcze rozboje popełniać.

Setnik głową pokręcił niedowierzająco, ale milczał. Krzyż wielki, czarny stał przed nimi: punkt zborny. Stanęli przy nim, strapieni niepowodzeniem poszukiwań.

— Trzeba będzie wrócić w dzień — rzekł setnik.

— Doczekamy ranka! — odparł spokojnie Szymon.

Chłop na tę wiadomość przykucnął na ziemi, otulił się szczelniej świtą i stęknął nieznacznie. Nie buntował się na zły los, ale chłód, deszcz i ciemność postanowił znosić stoicznie. Tylko już zupełnie stracił do gawędy ochotę. Czekali tak długą chwilę, gdy wreszcie szmer się rozległ za płotem i cichy szept starosty:

— Panoczku, jest dębina. Dziesięć sztuk!

— Strażnicy mówili o siedmiu ale i te trzy pewnie daleko od tamtych nie rosły. Gdzieście znaleźli?

— Pod strzechą leżą, od sadu, w zagrodzie tych niby waszych Feliksów. Ot, tam, gdzie grają.

— No, to chodźmy!

— Będzie rozbój! — szepnął Makar.

— Nie obejdzie się! A jakże! — odparł Szymon obojętnie, przodując gromadce. Po chwili się obejrzał.

— Nie ociągajcie się Nie stanie się nikomu z was żadna krzywda. Poprzysięgam to wam!

Chłopi w milczeniu przyspieszyli kroku.

W oświetlonej zagrodzie nikt się takich gości nie spodziewał. Towarzystwo dość liczne i stosownie do wesołej uroczystości podochocone zabawiało się właśnie tańcem i hałaśliwą gawędą. Obiedwie izby mieszkalne i kuchnia pełne były po brzegi. Matrony i starsi mężczyźni obsiedli wokoło ławy, stołki, kufry, przyglądając się uciesze młodzieży.

Szymon stanął w sieni, zajrzał do izb, potem do kuchni i tam się skierował, wprost na niemłodego mężczyznę, który, otoczony gronem szlachty, coś dowodził gwałtownie gestykulując.

Tak byli zajęci rozmową, że wejścia Szymona nie spostrzegli, aż dziewczyna młoda zajęta w kuchni krzyknęła przerażona:

— Szymon!

— Szymon!

Wtedy tamci się obejrzeli, i nagle mówca umilkł, reszta zwróciła się do leśniczego z groźnym pomrukiem.

On, jak zawsze obojętny, głową skinął w stronę mowcy i bez powitania rzecz zagaił.

— Przyszedłem tu po dziesięć sztuk dębiny, które zeszłej nocy wasi synkowie w dworskim lesie ukradli.

— Łżesz! Żadnej dębiny u mnie niema! — odparł szlachcic, porywając się od stołu.

— Jest, kiedy ja mówię! — twardo, ostro głos podnosząc, rzekł Szymon

Jeden z obecnych, suchy, kościsty starzec, naprzód wystąpił.

— Jeśli tak i jest, to dziś nie czas najeżdżać na dom, gdzie ludzie się zebrali na uciechę i despekt czynić własnej rodzinie. Chamy tak robią, i nie dziwiłbym się, żeby was tu jak chama poczęstowali! Ot co jest!

— Cham jest, kto kradnie, a w moim rodzie złodziejów nie było, więc ja tu rodziny nie mam. W uciesze też nie przeszkadzam i wiele czasu gospodarzowi nie zajmę. Tyle tylko, co pieczęcie na kradzionem drzewie położyć i policyjny protokoł spisać.

Nie unosił się, ani obrażał, ani znać było po nim strachu, mimo, że już wokoło niego skupiło się wszystko, co było w chacie.

Mężczyźni, rozpaleni trunkiem i nienawiścią silni, potężni, i kobiety zapalczywe a złe, gotowe do klątw i wymyślań.

Pierwszy przyskoczył drab rudy i czerwony, któremu wargi drżały od pasji.

— Ja kradł twoje dęby! Ja, ja! powtórz!

Szymon, do gospodarza zwrócony, powoli, zimno przemówił:

— Dwa razy synków waszych pojmano w borze, i ostrzegałem was, byście im oszczędzali kryminału. Teraz na sąd pójdziecie, bo już się miarka przebrała. Proszę wyjść ze mną do dębów!

— Do jakich dębów? Ja nic nie wiem! Rozbój, napaść! To ja was zaskarżę o potwarz.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

obrazu układu prof. Rybkowskiego i „Sprzedanej narzeczonej“ — zapełniło szczelnie salę teatralną. Prolog wypowiedziała pani Stachowicz cokolwiek blado, mimo to jednak przyjęto go oklaskami, których więcej posypało się po ukazaniu się obrazu z żywych osób przedstawiającego „Przez oświatę do wolności“, nie dość skoncentrowanego w ugrupowaniu, ale miłego dla oka i sympatycznego dla swej myśli.

„Sprzedana narzeczona“ poszła gładko, dzięki wdzięcznej Marynce, którą panna Bohussówna z niezmiennem śpiewa powodzeniem, panu Jerzynie dysponowanemu wczoraj bardzo szczęśliwie, wreszcie pp. Orzelskiemu i Boguckiemu oraz reszcie śpiewaków. Tańce powtarzane — opera zaś sama wielu słuchaczom, którzy ją po raz pierwszy słyszeli, podobała się nadzwyczajnie, wogóle zaś oklaskiwano ją wczoraj żywiej niż kiedykolwiek. Posiada ona niezaprzeczenie wielką siłę atrakcyjną, która niejednokrotnie przyjdzie jeszcze dyrekcji teatru z pomocą.

KRONIKA.

Djarjusz lwowski.

Poniedziałek 23. listopada.

Teatr hr. Skarbka: „Mam prawo kochać“, komedja Maksa Nordaua. Początek o godzinie 7. wieczorem.

Kalendarz. Poniedziałek (23.): Klemensa p. Wschód słońca o godzinie 7. minut 26, zachód o godzinie 4. minut 8.

Katedra lwowska rzym. kat. została już zewnątrz, mianowicie, od strony rynku, zupełnie odrestaurowaną.

„O ludzie“ wygłosi odczyt w wielkiej sali ratuszowej dnia 1. grudnia pani Marja Konopnicka. Będzie to pierwszy występ poetki na publicznej trybunie w naszem mieście. Dochód z odczytu, przeznaczyła prelegentka na rzecz pomnożenia bibljoteki Czytelni dla kobiet.

Przeciw propozycji rady miejskiej w sprawie święcenia niedzieli rozpoczęła się we Lwowie akcja ze strony stowarzyszenia *Gal. Kleinhandelsschutzverein*, które zwołało wczoraj wieczorem do sali ratuszowej pierwsze zgromadzenie. Audytorjum składało się ze stu osób. Obrady zagaił antykwarz p. Menkes, poczem na przewodniczącego powołano byłego bandażystę p. Porjesa, a na sekretarza kandydata adwokackiego dra Grünberga. Referent, młodziutki dr. Gabel, w półgodzinnym wywodzie starał się dowieść, że propozycja rady miejskiej, wedle której sklepy kupców żydowskich miałyby być w niedzielę zamykane od g. 11. rano począwszy na cały dzień, utrudni im w wysokim stopniu walkę konkurencyjną, a nie jest wynikiem faktycznej potrzeby, gdyż kupcy żydowscy nie trzymają chrześcijańskich pomocników, którzyby musieli o go. 11. udawać się na nabożeństwo do kościoła. Sądzi zatem, że sklepy żydowskie powinny mieć prawo handlowania od g. 7. rano do g. 1. w południe i proponuje wysłanie w tym duchu wystylizowanej petycji do namiestnictwa, wyrażając przytem nadzieję, że zechce ono zrewanżować się żydom za przysługi oddawane rządowi podczas wyborów. Gdyby namiestnictwo uznało za stosowne zsolidaryzować się z opinją rady miejskiej, w takim razie żydzi potrafią mu pokazać pazury. Oświadczywszy jeszcze, że inteligencja żydowska stoi zupełnie po stronie żądań kupców i zapowiedziawszy, że w dalszym ciągu odbędzie się cały szereg zgromadzeń dla zaprotestowania przeciw uchwale lwowskiej rady miejskiej, otworzył referent dyskusję. Po kilku przemówieniach w języku polskim i w żargonie powzięto rezolucję w duchu wywodów p. Gabla.

Zima tegoroczna wśliznęła się w mury Lwowa tak jakoś po cichu, że aniśmy się spostrzegli, jak miękki, puszysty śnieg pokrył na stałe już wierzchołki gmachów, dachy kamienic i opustoszałe ogrody. Ponieważ jednak przytem wszystkiem temperatura jest też łagodną, przeto na ulicach od kilku dni panuje niemiłosierne błoto, a na chodnikach mamy tyle wody, że spacer bez kaloszy należy ze względu na łatwość nabawienia się kataru do dzieł prawie heroicznych. Ten stan nie potrwa prawdopodobnie długo. Zwykłą koleją rzeczy nastąpią lada dzień przymrozki, a razem z nimi gołoledź pożądana wprawdzie dla donżuanów, pragnących robić pewne studja brukowe, ale wcale niepożądana dla „solidnych“ obywateli, którzy mają na względzie przedewszystkiem czystość obyczajów, a powtóre całość swojej fizycznej powłoki. Z tego powodu zwracamy się już teraz do „odnośnych organów“ z uprzejmą prośbą, ażeby zechciały przypilnować odczyszczania chodników przez ich stróżowskie moście. Jestto jedyny i niezawodny sposób ochronny na ewentualne przewracanie się, połączone ze szkodą zarówno zdrowia, jak estetyki.

Wypadek na kolei. Dyrekcja ruchu kolei państwowej donosi: Pociąg mięszany nr. 1854 dnia 21. listopada najechał na szlaku Borysław-Drohobycz na wozy wyciągnięte z toru fabrycznego braci Gartenbergów. Wypadek ten oprócz uszkodzenia jednego z tych wozów towarowych nie miał żadnych innych następstw.

Manifest pretendenta. Don Carlos wydał do karlistów manifest, w którym oświadcza, iż infantka donna Elwira — która uciekła z malarzem Folchim — zmarła dla wszystkich moralnie. Innemi słowy don Carlos wyrzekł się swojej córki.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W teatrze hr. Skarbka: Dziś w poniedziałek po raz pierwszy „Mam prawo kochać“ („*Das Recht zu Lieben*“), sztuka w 4 aktach Maksa Nordau'a; jutro we wtorek „Czarodziej z nad Nilu“, opera komiczna w 3 aktach Wiktoryna Herbert'a; w środę „Niniche“, wodwil w 3 aktach Hennequin'a i Najac'a.

Z sali koncertowej.

Uskarżamy się często na brak muzyki kameralnej, tymczasem trzeba w końcu przyjść do przekonania, że publiczności dla tego rodzaju muzyki Lwów chyba nie posiada. Jak bowiem inaczej tłumaczyć sobie, prawie pustą salę na koncercie kwartetu Tybergów? Program bardzo zachęcający i przystępny, bo złożony wyłącznie prawie z muzyki nowoczesnej, firma kwartetu nie obca dla Lwowa i niezaprzeczalnie pociągająca — wszystko to, nakazywało oczekiwać innego rezultatu moralnego i materjalnego, niż był w istocie.

Jeżeli na koncert ten wybierał się pesymista jakiś, dla którego p. Tyberg był tylko skrzypkiem z przed dziesięciu laty; pani Wanda Paltinger Tyberg tylko utalentowaną, ale początkującą pianistką z owych czasów, kiedy ze Lwowa wyjechała, reszta zaś wykonawców tylko osobistościami nieznanemi — to musiałby być bardzo zgryźliwie usposobionym, gdyby, wysłuchawszy produkcji kwartetu, nie poczuł się rozbrojonym i zdania nie zmienił.

W pierwszym rzędzie sympatyczna para muzykalna przedstawiła się nam w zasadniczo odmiennem świetle, niż dawniej. Pan Tyberg z solisty, który nacisk główny kładł na duży ton i efektowną, pełną rozmachu grę, przekształcił się w spokojnego, dyskretnego, rozsądnego kwartecistę, który z pietyzmem czuwa nad całością kompozycji, rozmyślnie nie wysuwając się na pierwszy plan, chyba tam, gdzie ona tego wymaga. Podobnie i pani Tyberg-Paltinger, której ideałem była dawniej, jak się zdawało, muzyka brawurowa — dziś z godną najżywszego uznania miarą artystyczną zasiada do fortepianu, aby współdziałać razem z kwartetem. Słowem, oboje wyszlachetnieli — poddając widocznie swą grę wpływom stylu poważnego, bez którego oczywiście muzyka kwartetowa istnieć nie może.

Do kwartetu, należą oprócz Tyberga, pp. Czerny, Zucker i Buksbaum. Jakkolwiek ten ostatni, wzięty osobno, wydaje się nam najwybitniejszą siłą, to jednak całość kwartetu nie nosi na sobie nigdy cechy niejednolitości: wszystko od początku do końca wystudjowane pracowicie, z poczuciem i zrozumieniem kwartetowej muzyki, w miarę efektownie, zawsze z godnością, stylowo, a nawet w miejscach, gdzie podnosi się diapazon kompozycji — z polotem. To też wieczór czwartkowy, rozpoczęty kwartetem g-moll Brahmsa, z początku chłodny, już w drugiej i końcowej części tegoż, rozbudził zajęcie wśród słuchaczów. Zwiększyło się ono jeszcze przy warjacjach Hajdna, odegranych nader misternie przez kwartet smyczkowy, a doszło do najwyższego punktu przy kwintecie Dworzaka, kompozycji prawdziwie chwytającej słuchacza barwnością swoją i życiem.

Złożywszy należne uznanie ansamblowi kwartetu Tyberga, który w przyszłym tygodniu da się słyszeć raz jeszcze i zapewne pociągnie większą ilość publiczności — nie możemy raz jeszcze nie powrócić do jednej z osobistości z pośród kwartetu. Jest ona wprawdzie także cząstką ansamblu, i również jak inni spełnia zadanie swe z artystyczną skromnością, zwraca jednak mimowoli uwagę słuchacza swym wybitnym talentem. Łatwo domyśleć się, iż mówimy o pani Tyberg-Paltinger. Dawno nie słyszeliśmy gry fortepianowej tak czystej, równej, biegłej, a chociaż kobiecej, to przecież nie pozbawionej temperamentu i życia. Przebija w niej pewien odrębny sprycik przy całej szlachetności. Nadto swoboda, z jaką artystka gra (z pamięci) rzeczy ansamblowe, robi wrażenie jak najlepsze, wszystko zaś razem nakazuje wyróżnić ją koniecznie i oddać słowa żywej pochwały.

Onegdaj zaś odbył się koncert gal. Tow. muzycznego, pierwszy w tym sezonie, a bohaterem jego był Henryk Melcer jako kompozytor i wykonawca.

Zarówno program tego koncertu jak i samo wykonanie przyniosło przeważnie to samo, co już na temże miejscu poprzednio pisaliśmy. „Koncert“ Melcera jest rzeczą niepospolitą i dającą się słuchać zawsze z wielkiem upodobaniem; grupa solowych rzeczy składała się ze znanych utworów Chopina, Paderewskiego i Liszta, a nowością była jedynie transkrypcja „Prząśniczki“ Moniuszki, ułożonej przez Melcera w sposób niezwykle pomysłowy i efektowny. Produkcję zakończono koncertem C-moll Saint-Saënsa granym u nas przed laty siedmiu przez Paderewskiego. Wobec tego, pozostaje tylko ocena gry sympatycznego artysty, którego obecnie Lwów za swego ma prawo uważać.

Grę jego scharakteryzowaliśmy już po pierwszym jego występie we Lwowie. W koncercie piątkowym była ona w zasadzie nie czem innem jak poprzednio — tylko odmiennym podlegała wpływom i nieco odmienne też kształty tu i ówdzie przybierała. Artysta, który wówczas najpiękniej wykonywał swój własny koncert, tym razem całą swą siłę intelektualną i techniczną skoncentrował w koncercie Saint-Saënsa, któremu bezsprzecznie palma pierwszeństwa się należy. Co do wykonania Chopina, to na pierwszem miejscu musimy wyszczególnić Nokturn i pierwszą połowę Ballady. Zresztą pojmowanie Chopina jest dziś w całym świecie rzeczą najbardziej indywidualną. Według żyjącej między uczniami Mikulego tradycji, wykonanie to ma być zupełnie inne jak to, którem nas obdarza cała młodsza generacja artystów, pochodzących bądź to od Leszetyckiego, bądź od Rubinsteina, że nie wspominamy już innych mistrzów nowoczesnych. Tradycja jednak ta, stanowczo sprzecza się z duchem czasu i należy do minionej epoki romantyzmu, a zasada, którą miał Chopin sam kierować się w informowaniu wykonawców jego dzieł: „raczej tempo wolniejsze, niż fałszywy charakter wirtuozowski“ — przy dzisiejszej nerwowości wykonawców i słuchaczy trudną jest do wprowadzenia w życie, gdyż zarówno jednym jak i drugim wydaje się za małym środkiem wywoływania wrażeń. Melcer pod tym względem nie różni się od innych, więc w grze jego pojawiają się poetyczne ustępy złożone rzecby można z samych „tchnień wiosny“, obok ustępów w stylu malarzy impresjonistów, szukających efektu nie w linjach, tylko w cieniach i plamach. Temu rodzajowi sztuki był poświęcony Prelud d-moll Chopina — kompozycja wymagająca istotnie nastroju burzliwego, ale według naszego poczucia jaśniejszego i miększego traktowania. Mimo to przy bliższem poznaniu utrwalamy się jeszcze mocniej w przekonaniu, że Melcer to natura nawskroś muzykalna, obdarzona niepospolitą siłą wyobraźni i pamięci, przytem w intencjach artystycznych tak czysta i szlachetna, że niepodobna przypuścić, aby działalność jego we Lwowie nie miała wywrzeć wielkiego wpływu na tutejsze stosunki artystyczne. Mamy też niezaprzeczone prawo chlubić się tem, iż go wśród nas posiadamy i że ztąd od nas rozchodzić się będzie rozgłos jego imienia, czyto kompozytorskiego czy wirtuozowskiego — bo niewątpliwie i w jednym i drugim kierunku pracować będzie obok zajęć swych nauczycielskich.

Atmosfera koncertu piątkowego była nader świetną: sala natłoczona, zajęcie ogromne, oklaski i wieńce, przyjęcie bardzo ciepłe. Uznano przychylnie pracę orkiestry i dyrektora Schwarca, ruchliwość Towarzystwa muzycznego i widoczny tegoż rozwój. Fiasko zrobił tylko nowy fortepian Bösendorfera, który posiada wprawdzie angielską mechanikę, ale ton przeważnie mały i suchy, zwłaszcza we wiolinie. Fortepianu potrzeba we Lwowie i sali koncertowej!

St. Niewiadomski.

Rada państwa.

(Telegramy „Dziennika Polskiego“.)

Wiedeń 22. listopada. (*Z izby panów*). Na wczorajszem posiedzeniu przyjęto ustawę o zniżeniu censusu z 5 na 4 zł. w drugiem i trzeciem czytaniu.

Wiedeń 22. listopada. *N. fr. Presse* donosi, że w poniedziałek załatwioną będzie w komisji budżetowej reszta budżetu, a w środę rozpoczną się obrady nad ustawą finansową. Rozdzielenie sprawozdania i druków nastąpić ma w końcu tego tygodnia.

Telegramy „Dziennika Polskiego.“

Wiedeń 22. listopada. Ks. Ferdynand koburski przejeżdżał wczoraj przez Wiedeń w drodze do Ebenthal.

Wrocław 22. listopada. Przy wyborach do rady gminnej przepadli wszyscy kandydaci socjalno demokratyczni.

Berlin 22. listopada. Zapowiedź *Berliner Tageblattu*, iż w mowie tronowej na otwarcie sejmu pruskiego ma być ustęp, wymierzony przeciwko Polakom, nie sprawdziła się. Mowa zapowiada tylko reformę ustawy o stowarzyszeniach, to też przypuszczają ogólnie, iż reforma ta w niektórych ustępach zawierać będzie punkty, na zasadzie których będzie można pośrednio gnębić Polaków.

Berlin 22. listopada. Mowę tronową przyjmują wszystkie pisma bardzo chłodno.

Berlin 22 listopada. Prezydentem sejmu pruskiego zostanie prawdopodobnie znowu eksminister v. Köhler.

Kolonja 22. listopada. *Köln. Ztg* wzywa rząd, aby zebrał pozytywny materjał do pociągnięcia tak wyraźnej granicy między niemieckimi i polskimi interesami, aby ją niemiecki klerykalism musiał uznać.

Sofja 22 listopada. Minister wojny Petrow ma zamiar zupełnie wystąpić z wojska bułgarskiego.

Londyn 21. listopada. Według doniesienia ajencji Reutera, poddał się dr. Jameson, słynny przywódca nieudałej wyprawy transwaalskiej, ciężkiej operacji. Wykonano ją w więzieniu, gdzie obecnie przebywa. Operację uważają lekarze za udałą, mimo to zagraża życiu pacjenta jeszcze dotychczas poważne niebezpieczeństwo. Stanem zdrowia chorego zajmuje się żywo cała Anglja.

Berlin 22. listopada. Zmarł tutaj książę Otton Stolberg Wernigerode w 60 roku życia. Zmarły był prezydentem pruskiej izby panów, w latach 1876—77 posłem niemieckim w Wiedniu, a następnie zastępcą Bismarcka.

TEATR hr. SKARBKA.

Dziś:

Po raz pierwszy:

Mam prawo kochać

komedja w 5 aktach Maksa Nordau'a.

OSOBY:

Józef Wahrmund, kupiec	Chmieliński
Otto Bardenholm, asesor	Grabowiecki
Dr. Bittner	Kliszewski
Berta Wahrmund	Stachiewicz
Pani Fridorp, jej matka	Cichocka
Pani Burkhard	Jankowska
Mina, służąca u Wahrmundów	Rybicka
Megda, gosp. u p. Fridorp	Gostyńska
Guwernantka u Wahrmundów	Wysocka
Betsy } dzieci Wahrmundów	Jaroszówna
Ludwika } dzieci Wahrmundów	Filcia

Rzecz dzieje się za naszych czasów akt I. w Heringsdorf, II. w Lichterfelde, III. w Berlinie.

Jutro „Czarodziej z nad Nilu“ opera komiczna w 3 aktach Henryka B. Smitha. Muzyka Wiktora Herberta.

Redaktor odpowiedzialny Adam Krajewski — Papier z fabryki [illegible] — Z Drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Franciszka Kattnera.